

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

10

Ciąg dalszy.

Zaczynało to wreszcie barona niecierpliwieć. Kiedy się więc rozgościł już na dobre, pyta Rożniewskiego.

— Kiedyż na koniec będę miał zaszczyt złożyć swoje uszanowanie narzeczonej?... Zechcesz mi, kochany hrabio, dać znać, o jakiej porze może mnie przyjąć pańska córka.

— Wanda nie czuje się dość dobrze — wycedził przez zęby gospodarz — żeby można widzieć się z nią dzisiaj... Nie wiem zresztą czy jutro będzie już dość silną na przyjęcie pańskiej wizyty... Córka sama mi powie, kiedy będę mógł pana poprosić do niej.

Baron udawał wobec przyszłego teścia, iż jest tem bardzo zmartwiony, kazał oświadczyć od siebie współczucie gorące z powodu niedyspozycji hrabianki... Ale w głębi duszy niezmiernie był z tego zadowolony, iż nie będzie musiał się zaraz z nią zobaczyć, ponieważ hrabianka poprzednim razem tak mu za imponowała, że Goldenthal poprostu obawiał się spotkania z nią, czując się w obecności tej kobiety w skórze zakłopotanego ucznia wobec rozgniewanego profesora. Wolałby był tedy jak najdłużej podziwiać wdzięki pięknej Wandy na barwnym portrecie, a choćby tylko na fotografii, byle nie być zmuszonym rychło stanąć przed nią osobiście.

A poza tem pobyt jego w Rożniewie miał jeszcze cel inny, dla jakiego głównie tu przybył; żeby zaś cel ten osiągnąć w zupełności, potrzebował baron kilku dni czasu przedewszystkiem dla zorientowania się.

To też po kilku krokach przedwstępnych, jakie zrecznie poczynił dyskretnie w pierwszych chwilach, udał się baron Goldenthal nazajutrz po przyjeździe na przechadzkę w towarzystwie Ludwika Remana do starej kaplicy zamkowej.

Znajdowała się ona na wysokim, malowniczym wzgórku nad wstęgą wartkiej rzeczki, a na krańcu dworskiego parku. Ze wzgórza roztaczał się widok wspaniały, rozległy, na wioski Łotyszów, na małe a zamożne osady starowierów, na łąki i pola od północy zamknięte czarną łąwą przepastnych lasów inflanckich, a z trzech innych stron szaremi smugami widnokregu, w jakie zlewały się w dali dla oka tafle gładkie kilku sporych jezior.

Na górę szło się dość szeroka, krętą ślimakowato ścieżką, obwiedzioną z boku bez przerwy łąwą kamienną omszałą, wzdłuż której biegł żywopłot krzewów ciernistych.

Na gładko ściętym wierchołku pagórka, pod strażą czterech niby kolumn — niebotycznych topoli, stała staroświecka, od wieku nieodnawiana kaplica z nieodrapanym tynkiem, przykryta ciężką kopułą czerwoną. Krzyż tylko na szczycie został niedawno podparty, z latami bowiem pochylił się znacznie i groził upadkiem.

Od długiego czasu nie odprawiano tu już nabożeństw i mało kto zachodził kiedy do wnętrza, gdzie nawet lampa wieczysta nie świeciła się przed ołtarzem z obrazem świętego Kazimierza, od śmierci matki Mieczysława i Wandy Rożniewskich. Drzwi do kaplicy wysokie, składały się z trzydziestu szyb ze szła grubego we wszystkich kolorach, każda w innym odcieniu. Niedgdyś, gdy w środku stałe światło płonęło, efekt to był wspaniały, stanąć przed kaplicą, po wejściu na szczyt wzgórza. Dziś tylko w godzinie zachodu słońca można było jeszcze w pogodne wieczory podziwiać obraz niezwykły, kiedy słońce po nieboskłonnie staczając się poza lipy parkowe, znajdowało się na chwilę tuż poza oknem okrągłym nad ołtarzem: wówczas przed wzrokiem stojącego przed progiem kaplicy ukazywało się na krótko zjawisko od tęczy piękniejsze, a rozigraniem się barw oślepiające...

Baron Goldenthal z młodym Remanem nie natrafili tu na chwilę podobną. Ludwik zresztą nie miał czasu, pomimo wielkiej ciekawości, przypatrzyć się czemukolwiek dokładniej, baron bowiem szybko minął front kaplicy i pociągnawszy za sobą towarzysza, przystanął przed boczną ścianą, gdzie umieszczone były przez pół w dolnej części muru, przez pół zaś już w ziemi u stóp kaplicy — drzwi żelazne z wyrytymi pośrodku głoskami: D. O. M.

Goldenthal spojrzał na te drzwi, potem na Remana popatrzył i odszedł stamtąd, znowu ciągnąc za sobą zaraz Ludwika.

Z tyłu kaplicy pod ścianą z okrągłym oknem z nad ołtarza nie było nic prócz gęstwiny krzaków. Nigdzie śladu wydeptanej ścieżki. Krzewy wysokie rosły tak gęsto obok siebie, że tworzyły istne sploty, jakgdyby powoje i bluszcze, których tam nie było. Widząc to, Ludwik stanął, a baron starał się wcisnąć w gęstwinę. Gdy mu się to nie udawało, zachodził co trochę z innej strony. Widać szukał czegoś. Co chwila tylko oglądał się, czy Reman nie odszedł. I znowu zagłębiał się w krzaki na pochyłości wzgórza u stóp samotnej kaplicy.

Wreszcie jakgdyby coś znalazł, machnął ręką w stronę zaciekawionego tem wszystkiem towarzysza, a kiedy ten zbliżył się zaraz, szepnął do niego:

— Pójdziemy tam razem.

— Gdzie — zapytał Reman zdziwiony.

Baron uśmiechnął się, a twarz jego była tak rozpromieniona dziwnie, że Ludwik nie przypomniał sobie, by kiedy widział Goldenthala w podobnem podnieceniu. Zaintrygowało go to tem bardziej.

— Nic pan nie pytaj, tylko chodź za mną.

Wcisnęli się teraz obaj między sploty najwyższych krzaków, połamami płaszczy chroniąc sobie twarz przed kolcami, które na nich odzież już rozdzierały i naraz zatrzymali się przed niedużymi drzwiczkami z żelaza kutego, od rdzawej powłoki czerwonego, których zawiasów ni futryny kamiennej nie było nawet widać z pod pleśni i mchu.

Baron na wszystkie boki drzwi te obmacywał, szukając widocznie miejsca, w którym zamek się znajdował, ale na otwór, żaden natrafić nie mógł w żaden sposób. Zaczął mu Ludwik pomagać, ale również bez skutku. Reman szukał przeważnie w połowie wysokości drzwi, baron zaś przeciwnie, bądź na górze, bądź też na dole.

Wreszcie wyjął Goldenthal z kieszeni duży scyzoryk, otworzył go i wskazał Ludwikowi miejsce na dole drzwi, gdzie kazał mu ostrzem zeskrobywać naprzód mech, a potem rdzę.

W ciszy rozlegały się przez chwilę przeraźliwe zgrzyty noża po żelazie.

Baron niecierpliwił się gdy na nic nie natrafiano. Spostrzegł, że nie dadzą sobie rady bez światła i daremnie żałował, że oprócz świecy nie miał przy sobie latarki. Światła zaś było nie sposób zapalić, tak silny wiatr panował tam na górze mimo na pozór zacisznego ustronia, a dzień był w ogóle chmurny i wietrzny i niebo deszczem groziło.

Już rozpacz barona ogarniała, gdy wtem nóż resztki rdzy zekrobując, natknął się na coś w żelazie. Więc się Ludwik w tem miejscu nachylił do drzwi bliżej i skrobał uważnie.

— Jest dziura — szepnął nagle z radością i tryumfem, sam już przejęty tajemniczą historią.

Goldenthal ukląkł przy nim na ziemi i w miejscu wskazanem bacznie macał palcem.

— Tak, to tutaj — mruknął sam do siebie i wyjął z kieszeni jakiś klucz staroświeckiej roboty. Próbował wcisnąć go w otwór, jednakowoż na próżno.

Okazało się, że dziurka od klucza musiała być i wewnątrz zatkana. Wziął tedy od Ludwika nóż i długo w otworze majstrował, zanim nie oczyścił zamku o tyle, że się dało klucz wsunąć do środka.

Znowu minuty upływały, baronowi wydające się godzinami, a siły obu mężczyzn nie wystarczały, by klucz w zamku przekreślić.

Obaj nie mogli się od okrzyku powstrzymać z chwilą, gdy nareszcie po długich móżolach rozległ się zgrzyt przeraźliwy, który powtórzyło jakieś tajemnicze echo ponure. Wtedy baron klucz wyciągnął z zamku i z powrotem uważnie włożył do kieszeni. Wstał i od góry drzwi zaczął palcem odmierzając przestrzeń, zsuwając rękę coraz niżej, aż natrafił na to, czego widocznie szukał.

— Panie Ludwiku, niech-no pan w tym punkcie mocno naciśnie... pan masz więcej siły ode mnie...

Reman stosownie do wskazówek naciskał drzwi, ale chociaż wszystkich sił do tego używał, skutków nie było widać. Więc baron znowu próbował i rzeczywiście dał się słyszeć naraz trzask sprężyny. Już Ludwik sobie wyobrażał, że wystarczy drzwi pchnąć po tem wszystkiem, żeby zajrzeć do środka, gdy tymczasem płyta żelazna pod jego pięścią nawet nie drgnęła. A jednak drzwi były już otwarte, wisiały ciężko na zawiasach, niczem już nie zapierane.

Goldenthal wszelako znając drzwi tych tajemnicę, nie dziwił się, ani nie martwił. Podał swemu towarzyszowi świecę, kazał mu ją mocno trzymać w ręce, sam zaś w jedną rękę wzięwszy pu-

dełko zapalek, drugą pchnął lekko drzwi, ale nie z tej strony, z której Ludwik — wnioskując logicznie — próbował je otworzyć.

Wyziew stęchlizny podziemia owionął ich obu, kiedy się naraz przed nimi rozwarła czarna czeluść.

Ludwik zdumiał się wielce, gdy baron znany mu dotychczas z często wypróbowanego tchórzostwa, tutaj postąpił śmiało teraz przed siebie, wchodząc do wnętrza pierwszy, żeby ochroniwszy się przed wiatrem, zapalić zapalną. Reman podsunął mu świecę i naraz rozjaśniła się nieco grota pod kaplicą, na progu której stanęli.

Szybko rozejrzał się więc od drzwi Ludwik przy młym blasku świecy, ale nie ujrzał nic prócz czarnego sklepienia w górze i po bokach i jeszcze czarniejszej przepaści, która się przed nimi otwierała.

Tuż za drzwiami był prostokątny nieduży ganeczek z żelazną baryerką, na który właśnie weszli, stąd zaś w dół prowadziły schody kamienne.

Lęk zdjął młodego człowieka, kiedy baron, zaledwie się obaj w środku znaleźli, przymknął drzwi za sobą,

— Zejdziemy w dół... trzymaj pan mocno świecę, panie Ludwiku i uważaj, żeby nam nie zgasało... No, cóż pan się boisz, nie bądź-że pan głupi... Idź-że pan przodem i świeć pan dobrze drogę... Strach pana ogarnia, to pan sobie przypomnij siostre swoją, z tą myślą zaraz panu będzie różnie... Ale tu zresztą niema do czego mieć odwagi, są schody, schody i jeszcze raz schody... Niech mi pan wierzy... ani jednego nieboszczyka tutaj nie spotkamy, boś pan przecie widział, gdzie były drzwi do grobowca Rożniewskich pod kaplicą... A schodów przecie się pan nie boisz.

Troszkę wstyd było Ludwikowi tych słów barona, zwłaszcza, że pamiętał, co za tchórz był z Goldenthala, który teraz tak śmiało schodził w głąb tajemniczej jaskini. Milcząc tedy, lubo ciągle z duszą na ramieniu, po wązkich schodach schodził coraz niżej przodem, uważnie niosąc świecę, baron zaś postępował za nim krok za krokiem.

Stopnie kamienne prowadziły w głąb w ten sposób, że co kilkanaście schodów zakręcały w bok.

Zdawało się, że nie będzie nigdy ich końca. Szli już długo w milczeniu, na żadne nie natrafiając niespodzianki. Ile razy zakręcał, spuszczała się w głąb podziemia, nie mógł już w tem zorientować się Ludwik, który wszakże pilnie i przytomnie rachował stopnie.

Doliczył się właśnie już osiemdziesięciu schodów i wspominał sobie w myśli, że równo tyle stopni prowadzi na czwarte piętro do jego mieszkania w Łodzi.

Wtem pod nogami uczuli zamiast kamienia miękki piasek, a jednocześnie owionął ich nieco cieplejszy prąd powietrza. Reman oświetlał wszystkie kąty. Okazało się, że schody skończyły się i obaj znaleźli się na przestrzeni niedużego czworoboku ścian kamiennych, skąd w żadną stronę nie było już nigdzie wyjścia.

Ludwik rozejrzał się pilnie, ale nigdzie oko jego nie natrafiło na żaden przedmiot. Piasek na ziemi był gładki i pusty, a nawet w ścianach kamienne nie różniły się jedne od drugich niczem, wszystkie gładkie i rozmiarów jednakich. Wszystko to dziwiło więc młodego Remana niezmiernie, Goldenthal jednak sprawiał wrażenie, jakgdyby to wszystko nie było dla niego niespodzianką, lecz przeciwnie, jakgdyby zastał był tutaj wszystko w tym stanie, jak się spodziewał. Ledwie przystanęli, wyjął baron z kieszeni zwijaną miarę, ale, jak zaraz to spostrzegł Ludwik, nie metrową, lecz starą calówkę. Zbliżył się do muru i zaczął mierzyć. Palce drżały mu przytem widocznie; co chwila wzywał Ludwika, żeby mu lepiej poświecił.

Po chwili znalazł wreszcie punkt, którego szukał. Wtedy wziął z rąk Remana sam świecę i oświecił nią sobie jeden z kamieni, ściany stonowiących.

Tuż za nim stanął Ludwik w najwyższym stopniu zaciekawiony, czego tam baron szuka.

Nagle kamień, właśnie ten oświecony, wypadł z muru na ziemię, a Ludwik zauważył, że gładki ten na pozór niczem nie różniący się od innych, był jednak zupełnie cienki i wewnątrz wydrążony, więc zupełnie lekki. Kiedy wzrok z niego podniósł z powrotem na barona, spostrzegł, że ten wyjął z otworu w murze jakąś ukrytą tam szkatułkę...

— Zamknij pan na powrót ten otwór — odezwał się naraz baron do niego, a Ludwik zdziwiony z ziemi lekki kamień i w jednej chwili z łatwością wsunął go na dawne miejsce, a kiedy rozejrzał się po ścianach, zauważył, że jużby mu